

## Nie pójdziemy do przodu z zamkniętymi oczami

Dziękując za możliwość zaprezentowania podczas XXIV Sympozjum Polsko-Niemieckiego Towarzystwa Zdrowia Psychicznego fragmentów mojego filmu „Nie wolno się brzydko bawić”, chciałam podzielić się z Państwem pewną refleksją.

Po pokazie filmu – wcześniej nie zapowiadany, w pewnym sensie zaskakującym dla zebranych – podeszło do mnie wiele osób... Dziękowały, dopytywały, dzieliły się niedosytem - dlaczego wszystko odbyło się w takim pośpiechu? Bez możliwości wymiany choćby kilku zdań...

Ich niedosyt jest moim niedosytem. Bardzo żałuję, że nie było okazji pokazać całego filmu, który mówi nie tylko o przeszłości, ale przede wszystkim – dotyka teraźniejszości. Dlatego myślę, że może być interesujący tu i teraz – np. dla specjalistów psychiatrów.

Mówi o tym, co z czasów, kiedy mój ojciec był 10-letnim więźniem hitlerowskiego obozu dla dzieci, zostało przeniesione w jego dorosłe życie, w życie jego rodziny i dzieci, czyli mojej siostry i mnie.

Gdy pytali Państwo, co powinno być przedmiotem kolejnego Sympozjum, nie miałam odwagi podpowiedzieć, że określenie punktu, w jakim pod względem emocjonalnym, znajdujemy się pomiędzy przeszłością a przyszłością.

Nie miałam odwagi zaproponować tematu Sympozjum, choć przecież powinien mi ją dać udział w warsztatach, prowadzonych w ramach Sympozjum przez Panią Danie-

lę Brandtner i Łukasza Cichockiego. „Wolne marzenia” mogły nas zaprowadzić wszędzie, ale my mówiliśmy o konieczności wysłuchania ofiar II wojny światowej. Ofiar. Na czele z tymi najsłabszymi, których głos do tej pory był najsłabiej słyszalny – kobiet, dzieci, osób chorych psychicznie, ludzi okaleczonych fizycznie i psychicznie. Nie bohaterów. Ale właśnie – ofiar. Skazanych – za własną bezradność, wrażliwość i słabość. Warsztaty pokazały, jak mocno tkwi w nas przeszłość, nasza wspólna przeszłość polsko-niemiecka. I to w nas, którzy mamy lat dużo (Pan Gerhard Baader), mniej (Pan Michael Gollnow, ja), czy najmniej (20-30-letni pacjenci chorujący na schizofrenię). Warsztaty rozpoczęły się od marzenia Pana Gerharda Baadera, by dzieci Holocaustu zostały wysłuchane. Pan Michael Gollnow mówił o upamiętnianiu sercem, o budzeniu empatii w kontekście upamiętniania ofiar wojennej eutanazji. Ja wspomniałam o uczeniu empatii tu i teraz wśród dzieci Szkoły Podstawowej, która współpracowała ze mną przy robieniu filmu o obozie, a na co dzień opiekuje się pamięcią o obozie. Dzieci uczą się empatii wobec swoich rówieśników. Uczymy je, jak czuć, jak nie bać się czuć. Oduczamy traktowania siebie i innych jak rzeczy. A w kontekście czego? W kontekście historii jakże trudnego miejsca, jakim jest hitlerowski obóz dla dzieci i młodzieży przy ulicy Przemysłowej w Łodzi.

Jak wspomniałam, nie miałam odwagi zaproponować tematu kolejnego Sympozjum, choć przecież powinny mi ją dać przede

wszystkim moje własne doświadczenia podczas pracy nad filmem. Na początku obawiałam się, że zajmuję się tematem dawno nieaktualnym. Tym bardziej, że zewsząd słyszałam: „Znowu ta wojna? Dajmy spokój tej wojnie. Idźmy do przodu. Bawmy się!” Ale kiedy okazało się, że o hitlerowskim obozie dla dzieci i młodzieży przy ulicy Przemysłowej w Łodzi, z filią w Dzierżąznej, nikt nie wie, nawet historycy... kiedy odnalazłam ostatnich żyjących byłych więźniów obozu, którzy opowiadali historię sprzed ponad 60 lat, z bólem tak żywym, jakby to wczoraj ktoś ich głodził, poniżał, zmuszał do pracy ponad siły, bił i wykorzystywał... kiedy porządkując garaż mojego taty, natknęłam się na informację, że w dzieciństwie był więźniem obozu przy Przemysłowej, i przypomniałam sobie, że w naszym domu mówiło się o tym ze wstydem, poczuciem winy, obrzydzeniem... zaczęłam podejrzewać, że w tych okrzykach „Dajmy spokój z tą wojną” nie chodzi o zwykłe zmęczenie tematyką wojenną, ale o bezradność. Wobec emocji, które nie skończyły się wraz z końcem wojny, i które nie kończą się wraz ze śmiercią jej ofiar.

Tegoroczne Sympozjum bardzo mnie ubogaciło. Ale i zasmuciło. Bo uświadomiło, że nie pójdziemy do przodu z zamkniętymi oczami i zatkanymi uszami. Choć uparcie ćwiczymy tę sprawność. Czy jest możliwe znalezienie dla psychiatrii i chorych psychicznie oparcia w rodzinie, sąsiedztwie i społeczeństwie, które nadal stygmatyzuje chorych? A dlaczego to robi? Bo jest złe? A może nie potrafi inaczej? Może nie zostało nauczone? Może boi się czuć? Bo czucie, współodczuwanie osłabia? Może woli odwracać twarz od ludzi na wózkach, od ich zdeformowanych ciał, bo słabość oznacza (na poziomie nieświadomym, a więc najgroźniejszym, bo działającym z zaskoczenia, bez refleksji) przegraną, upokorzenie, ból, śmierć? A jeśli emocje przerażają, to bezczucie, obojętność, agresja, zajęcie się sprawami materialnymi daje pozorne poczucie panowania, kierowania, kontrolowania?

Podczas warsztatów młody mężczyzna chory na schizofrenię skarżył się, że czuje się przez ludzi oceniany, odrzucany, naznaczony. W odpowiedzi – zastanawiałam się

głośno, czy może liczyć na akceptacją społeczeństwa, które boi się skonfrontować się ze swoją przeszłością? Z przeszłością swojej rodziny, narodu. Zaryzykowałam stwierdzenie, że może właśnie w przeszłości można szukać klucza do dzisiejszych emocji? Może trudne emocje sprzed 60 lat (nazwane, przyjęte, odczute, zaopiekowane...) uda się przetworzyć w dobrą, uzdrawiającą energię? Iluzja? Może tak, a może nie...

Nie jestem specjalistą, psychiatrą. Ale osobą z dużym doświadczeniem choroby mojej rodziny. Teraz mogę to nazwać. Teraz chyba zaczynam umieć to nazywać. Mam większy wgląd, odwagę, siłę. Jako dziecko tylko czułam, że coś jest „nie tak” z moją rodziną. Ale rodzina nie miała odwagi, samoświadomości, by przyznać mi rację. Dlatego ja musiałam przyznać rację im - większym, silniejszym, mądrzejszym (?). I tym samym musiałam zaprzeczyć sobie. Wtedy nie miałam pojęcia, że nasz problem ma swoje korzenie o wiele wcześniej, głębiej...

Gdy zmarł mój ojciec, a ja znalazłam kartkę z informacją, że jako dziecko był więźniem obozu przy ulicy Przemysłowej w Łodzi, znów myślałam, że zaczyna się dzieć coś przeciwko mnie, za ciężkie, za trudne, nie moje. Ale stopniowo okazało się, że rozmowy z byłymi więźniami i konfrontowanie się z trudną historią dzieci z Przemysłowej, pomaga nazywać uczucia i mechanizmy z mojego dzieciństwa, z mojego rodzinnego domu, z mojego życia tu i teraz. Był moment, gdy obóz, po którym nie zostało wiele śladów, znalazłam w sobie. I wtedy przypomniałam sobie, jak zawsze w szkole mówiłam, że nienawidzę historii, szczególnie II wojny światowej, jak jest mi obojętna, jak jest zamierzchła, niepotrzebna...

Z wiadomych powodów historię obozu odkrywałam sercem. Opowiadałam ją sercem. Przez cały czas współodczuwałam. To było bardzo trudne, często ponad siły. Ale podziąłało. Poznałam historię obozu nie tylko głową, ale objęłam ją sercem. W trakcie tego miałam wrażenie, że odczuwam nie tylko swój strach, rozpacz, zamknięcie, dezorientację, wreszcie - rozzdzierającą niemożność wypowiedzenia upodlenia, krzywdy, bólu. Było bardzo trudno,

ale chyba podziałało. Doświadczenie tragedii dzieci zaczęło uwalniać mnie od poczucia winy, od nienawiści do ojca, i, mam nadzieję, stopniowo uwolni mnie od nienawiści do samej siebie. Uświadomiło mi, że czując się niby lepiej, niby bezpieczniej w skórze ofiary, nie pójde ani o krok do przodu. Zaczęło mnie uczyć odpowiedzialności za własne emocje.

Czy moje doświadczenie może mieć szersze zastosowanie? Sądzę, że tak. Śmiem twierdzić, że w naszej trudnej polsko-niemieckiej historii, ale nie tej oficjalnie uszanowanej i odsuniętej w kącie pamiątkowej gabloty, tylko tej naprawdę wysłuchanej, przyjętej, przeżytej, oplakanej... jest nadzieja na uleczenie dnia dzisiejszego, dzisiejszych strachów, niedomagań, chorób... Mam swoją teorię, może szaloną, ale uważam, że póki na poziomie rodzinnym, społecznym i narodowym nie przestaniemy odczuwać potrzeby bycia ofiarą, nie ruszymy z miejsca. I mam tu na myśli zarówno Polaków, jak i Niemców. Tylko, by przestać być ofiarą, trzeba zostać wysłuchanym, trzeba wysłuchać, przyznać się do słabości, do bycia ranionym i do ranienia, pochylić się...

Jako nowy członek Polsko-Niemieckiego Towarzystwa Zdrowia Psychicznego tym razem jednak odważę się wnioskować, by tematyka kolejnego Sympozjum połączyła w sobie dwa filary działalności Towarzystwa – pamiętanie i działanie na rzecz psychiatrii szanującej ludzką godność. Działanie na rzecz psychiatrii szanującej ludzką godność w kontekście pamiętania, czerpiące wiedzę z przeszłości.

Chciałam zaproponować pokaz – tym razem w całości, z możliwością pogłębionej rozmowy – mojego filmu, który, jak niektórzy twierdzą, jest albo jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym, filmem pokazującym problem bycia dotkniętym traumą wojenną jednocześnie z perspektywy pierwszego i drugiego pokolenia. Z perspektywy bezpośrednich ofiar II wojny światowej i ich dzieci. Perspektyw często sprzecznych, skonfliktowanych, wykluczających się.

Film „Nie wolno się brzydko bawić” miał już polską, kinową premierę. Pokazywano go też na uniwersytetach w Siegen i we Frankfurcie. Jest bardzo wymagający, powoduje dyskomfort, jest trudny w odbiorze, miążdzący. Niektórzy go odrzucają. Niektórzy wytrzymają i oglądają do końca. Po czym przanalizują rodzinne historie sprzed lat... podzielią się ze mną refleksjami dotyczącymi swoich relacji z tu i teraz... Tak zwykle się dzieje w trakcie rozmów po pokazach. Rozmów, tak bardzo dla mnie wartościowych, bo uświadamiających mi, że nie zrobiłam filmu historycznego, nieaktualnego, ważnego tylko dla mnie.

A może przyszedł czas, by zastanowić się nad terapią dla osób chorych psychicznie poprzez terapię społeczeństwa? Jeśli pokładamy w nim tak wielkie nadzieje, stawiając na psychiatrię otwartą, pozainstytucjonalną, leżącą w kontakcie i poprzez kontakt z drugim człowiekiem.